

Artur Gruszecki.

# Po ślubie.

10

— No i co? — spytał Winecki przez uprzejmość i ziewnął przeciągle.

— Ona ani słyszeć nie chciała. Dopiero ja do rodziców jej, którzy mają domek w Dobczycach, sam pojechałem, przedstawiłem stan interesów moich, rzekłem się wyprawę, zapisałem majątek na przeżycie i skaptowałem ich dla siebie. Ona jeszcze się krzywiła, było trochę płaczu, ale gdy pokazałem jej meble po nieboszczce, dwie szafy z bielizną i sukniami, zmiękła i zgodziła się...

— No, a co było z tamtym?

— Jakim?

— A ten narzeczony jej, czy coś takiego, bo mówiłeś o nim.

— To był początkujący kupiec, miał kredyt, ale brakowało mu gotówki. Ożenił się z wdową po rzeźniku i powodził mu się dobrze w Tarnowie... Natalcia jest teraz wdzięczna rodzicom, że ją nakłonili i mnie także, to też żyjemy ze sobą szczęśliwie i przykładowie.

Przyszli do miejsca rozstania się, Szabelski skręcił w swoją stronę, a uszedłszy kilka kroków, zawołał:

— Pamiętaj, Jasiu, o tej wsi!

— Wiem! Wiem!

— Jutro na piwie powiesz mi!

— Dobrze!... Dobranoc!

Nazajutrz przy zwykłym stole siedzieli wszyscy towarzysze codzienni z wyjątkiem Wineckiego, który wiedząc, że jest oczekiwany, rozmyślnie się opóźnił z przyjściem.

Humory panów z wyjątkiem prezesa Bluma były nieszczęśliwe, dopiero ożywiła się rozmowa na wiadomość, że żona jednego z wyższych urzędników i dygnitarzy miasta porzuciła męża i uciekła z nauczycielem swych małych synków. Korzystając z tej sposobności, panowie zebrani na piwie wypowiedzieli wiele cennych i głębokich uwag na temat zepsucia obyczajów w sferach wyższych i bogatszych, w których kobiety nie mają innego zajęcia, jak bawić się i stroić, a Orszycki, który na seryo brał swój tytuł filozofa, powiedział sentencyjnie:

— Praca jest najlepszym środkiem na zepsucie, takie jest moje przekonanie. Gdyby taką bogatą damę zaprzadł do takiej pracy, jak nasze żony, co to i do kuchni, i do dzieci, i do uszycia sukni, i do gospodarstwa muszą zakasać rękawy, odechciałoby się im romansowania, strojów, zabaw i uciekania z kochankami. Takie jest moje zdanie.

— Pan radca ma zupełną rację, — pociągnął Merczak z uznaniem, — czytałem gdzieś, że tak zwane wyższe towarzystwa kobiet psują dobre obyczaje! — a po dobrej chwili dodał zbolalym głosem: — Upada kultura i cywilizacja, upada kraj!

Jeszcze nie mieli czasu ci panowie zastanowić się nad przyczyną upadku kraju, gdy wszedł Winecki, a Szabelski nie bez pretensji zawołał:

— Spóźniłeś się, Jasiu, i dlaczego?

— Miałem ważne powody, — odrzekł obojętnie, — a słyszeliście o najnowszym skandalu dzisiejszym?

— Czy o ucieczce z belfrem? — uśmiechnął się prezes Blum, — o tem już wiemy, a pan budowniczy słyszał o czym innym?

Winecki, który liczył na wrażenie niespodzianki, widząc zawód, uśmiechnął się z przymusem i rzekł:

— Wiedziałem, że znacie ten skandal, bo całe miasto o nim gada, ale co na to panowie mówicie?

— Była już dyskusja, — odezwał się Merczak, — i ten skandaliczny wypadek rzuca złe światło na stan naszego miasta.

— O, przepraszam! — zawołał Orszycki, — miasto, to my, obywatele, przemysłowcy, rękodzielnicy, a co my mamy wspólnego z niestętymi mieszkańcami?

Panowie przy stole poruszyli się niespokojnie, każdy miał coś do powiedzenia w tej sprawie, gdy podszedł do nich dyrektor jednej instytucji finansowej, okrągły, tłusty, z twarzą księżycową, łagodną, uśmiechniętą, i rzekł:

— Wiecie, panowie, ta ucieczka nadradczynie z nauczycielem, to bajka. W tej chwili widziano

nadradcę z żoną na rynku. Ktoś zobaczył ją w powozie z nauczycielem za miastem i puścił plotkę.

To sprostowanie było pewnego rodzaju rozczarowaniem dla słuchaczy i Blum rzekł:

— Zawsze jednak musi być w tem coś. Ludzie napróżno nie gadają.

— Tak bywa, — potwierdził dyrektor, — ale w tym wypadku, nie! I ja od samego początku wątpiłem, ona ma z górą trzydzieści, a on może dwadzieścia.

— A, w takim razie, pan dyrektor ma słuszność, — rzekł Orszycki, — ja tak samo nie dowierzałem tej plotce.

Jakiś czas panowie oburzali się na plotkarstwo miejskie i wszyscy się zgodzili, że tę plagę zawdzięcza miasto tylko kobietom.

— Ręczę wam, — rzekł Blum poważnie, — że plotkę tę o nadradczyni, tak poważnej osobie, zrobiła jakaś zazdrosna kobieta, bo nas, mężczyzn, nie interesują takie rzeczy.

Ponieważ wszyscy podzielali zapatrywanie Bluma, rozmowa się przerwała. Korzystał z tego Szabelski i spytał:

— Cóż, Jasiu, dowiedziałeś się o tej wsi?

— Powiem, mamy czas, — drożył się Winecki.

— O jakiej to wsi mowa? — spytał Merczak.

— Wybieramy ustronne miejsce dla naszych żon, — objaśnił go Orszycki.

— O, to dla mnie ministerialna kwestya, — uśmiechnął się Merczak, — jestem spragniony tej wieści.

— Wiesz, Jasiu, — zniżył cokolwiek głos Szabelski, — wczoraj Irenusia miała w mej nieobecności atak kaszlu... Dziś poszła z nią Natalcia do doktora, i ten nakazał wyjazd w góry. Zależy mi tedy na tej wsi.

Winecki skinął poważnie głową na znak, że rozumie przykre położenie przyjaciela, odchrząknął, napił się piwa i zaczął tajemniczo:

— Dowiedziałem się dziś, z ust poważnej osobistości, nazwisko zachowam dla siebie, że, jak mówi ta osoba, istnieje idealne leśnictwo w pewnej wsi. Trzy mile kołmi od stacji kolejowej, a jednokonna furka kosztuje sześć koron. Wokoło tej wsi drogi niemożliwe, same kamienie, dziury, błota, że nawet konie łamią nogi. I najbliższa miejscowość, do której zjeżdżają ludzie na lato, jest odległa o dwie mile i pół.

— Ależ to musi być okropna dziura, — krytykował Merczak, — tam mogą zabić, zamordować i pies się o tem nie dowie.

— Ja też nie zachęcam pana, — rzekł lekceważąco Winecki, — wyjeżdż pan z żoną do Krynicy, do Zakopanego, do Rabki i plać bajorńskie sumy, bo masz z czego, ale my na każdy grosz ciężko pracujemy.

— Racya!... Racya! — skinęli inni głowami.

— A czyż ja nie pracuję w pocie czoła? — zawołał z żalem Merczak, — i dla mnie każdy grosz drogi.

— Więc słuchaj pan i nie przerywaj, — powiedział łaskawie Winecki. — Do tej wsi, zjeżdżają tylko ludzie, którzy chcą wypocząć po całorocznej pracy i zyskać zapas zdrowia, jak mi mówiła ta osoba. Tam niema tańców, zabaw, muzyki i nie potrzeba żadnych strojów, literalnie żadnych.

— O! O! — zawołał z niedowierzaniem Orszycki, — przecież nago nie chodzą i zawsze ubrać się trzeba.

— Radco! — upomniął go Winecki, — jeśli mówię stroje, mam zawsze na myśli te różne fidrygałki i gałganki kobiet. Tam wystarczy byle jaka kiecka, a zamiast kapelusza chusteczka.

— Raj, nie wieś! — zachwycił się Szabelski, — bo już mi żona głowę kołowała o jakieś suknie dla siebie i dziecka; tam, panie tego, nic nie potrzeba, wystarczy domowa suknia, i dla Irenusi także nic. No, a jak tam z pocztą, bo pisać do nich trzeba.

— Poczta o milę, a urząd telegraficzny pewno na stacji.

— Ja gotów jestem wysłać tam żonę, — powiedział niebardzo pewnym głosem Orszycki, — a jak nazywa się ta wieś?

— Zaraz powiem... zresztą nazwa sama to głupstwo. Idzie o to, jakie korzyści daje nam pobyt na tej wsi.

— Czy pan budowniczy myśli także wyjechać? — spytał lekko zdziwiony Orszycki.

— Ani mi się śni, idzie o nasze żony... Posłuchajcie dalej... Ponieważ dojazd jest trudny i kosztowny, nie potrzebują nasze żony obawiać się niepotrzebnych wizyt i niespodzianek. Prócz tego we wsi niema hotelu, niema restauracyi,

niema pensjonatów, więc chociażby natrętnik jaki przyjechał, gdzie przenocuje? gdzie się pożywi?

— Zawsze na to znajdzie się rada, — przemówił prezes Blum, — jeśli będzie wiedział, że niema gdzie spać i jeść, weźmie zapasy, a prześpi się w stodole, jeśli go nigdzie nie zaproszą, — zaśmiał się.

Ostatnie słowa oburzyły skromność Orszyckiego i powiedział:

— Co pan prezes przez to rozumie? Kto ma tego pana zaprosić? Chciałbym dowiedzieć się, i ja, i ci panowie.

— Mój radco kochany, alboż we wsi niema księdza? dworu? szkoły? A łaskawy pan radca myślał o innej gościnie? Co? — zaśmiał się złośliwie.

— Wszystko to dobrze, — zaczął Szabelski, — ale co jeść będą? Samem potwierzem trudno żyć.

— Już mówiłem, — rzekł trochę podrażniony Winecki, — że tam zjeżdżają ludzie spokojni, jest mięso na miejscu, chleb, bułki, mleko, masło... czegoż chcieć więcej?

— No, tak, dla kobiet i dzieci to wystarcza, a nas i tak tam nie będzie, — rzekł Orszycki, — i jak nazywa się ta wieś?

— Grotów!

— Nie mów, Jasiu! — zawołał równocześnie Szabelski, ale było już zapóźno.

— Dlaczegoż nie miał powiedzieć? — spytał Orszycki.

Zapytany namyślał się przez chwilę, wreszcie odpowiedział:

— Moja żona, ze względu na wydatki i niewygodę połączone z odwiedzinami, prosiła mnie, ażebyśmy do chwili wyjazdu nie wymieniali miejscowości.

— Zgodne małżeństwo, — uśmiechnął się Blum złośliwie, — bo zdaje się, że i sam radca chce ukryć nazwisko wsi.

— No... tak... zapewne, — zmieszał się cokolwiek Szabelski, — ale przyznacie sami, że to nic przyjemnego mieć gości na karku, lepsza samotność.

— To rzecz jasna, — pociągnął z potwierdzeniem Orszycki.

— Jak słońce! — uśmiechnął się Merczak, — bo dopiero w samotności, jak mówią, myśliciele, uczy się człowiek cenić towarzystwo ludzi. Gdzieś czytałem, jak człowiek żyjąc ze zwierzętami, sam został zwierzęciem. To była bardzo ciekawa książka.

— A toś pan beknał, — śmiał się Blum, — czyż ich żony bez towarzystwa zostaną krowami? cielętami?

— Co pan czytał, — rzekł gniewnie Winecki, — nas nie obchodzi... Cóż, radco? wysyłasz tam żonę? — patrzył na Orszyckiego.

— A są tam góry? bo żona chce tylko gór.

— Są! Są! Grotów leży pod Zakopanem, ale droga do Zakopanego taka, że zanim się tam dostanie, można się rozchorować.

— Ja sędzę, — powiedział z namysłem Orszycki, — że moja żona się zgodzi, jeśli wasze pojedą.

— Moja pojedzie! — rzekł stanowczo Winecki, — bo ostatecznie mąż powinien rządzić, nie żona.

— Natalcia pewno pojedzie, — upewniał Szabelski.

— Ja wysłę swoją, — rzekł Merczak, — w tym Grotowie będzie ona na łonie natury.

— Jeszcze jedno, — powiedział Szabelski z powagą, — gdzie nasze żony jadą, to nasza tajemnica.

— Ale żonie wolno mi powiedzieć? — spytał nieśmiało Orszycki.

— Wolno, ale musi zobowiązać się do zachowania tajemnicy, — objaśnił Szabelski.

Po załatwieniu tej ważnej sprawy wszyscy odetchnęli i już swobodniej rozmawiano o ciężkich czasach, o podrożeniu robotnika, materiałów, żywności. Wtem Blum niespodziewanie zaczął dać pięć bomb piwa, a gdy przyniesiono, podniósł swoją w górę i rzekł:

— Piję za zdrowie i na powodzenie waszych żon! Niech im czas na wsi upływa przyjemnie, niech się bawią wesoło i szczęśliwie bez was.

Tracił się bombą z innymi. Popili piwa, ale Orszycki, jak gdyby coś kwaśnego wypił, skrzywił się i rzekł zgryźliwie:

— Dlaczego prezes powiedział: bez nas?

— A czy wy tam będziecie? — śmiał się.

— To nie, ale... ale... — zmieszał się, — zawsze ta wesołość bez nas...

— Cóż radca chce? Prawdziwa wdowa, a i ta po kwartale szuka innego, a po roku jest ślub